

Z wspomnień brazylijskich.

— Chico! *) Dzień dobry!

Olbryzi, rosły, jakby z samych pękających mięśni alejony murzyn, podnoszący właśnie do ust małą szklaneczkę „kaszasu“ **) drgnął lekko, postawił szklanek na ladzie „wendy“ **) i odwrócił się niedbale.

Tuż za nim stał młodzieniec wysmukły, blade. Jasny wąs gęsto porastał jego górną wargę, odchyloną szeroko w uśmiechu.

„Murzyn drgnął ponownie

— Dzień dobry! Andre!

— Dzień dobry! Mam do ciebie interes!

— Interes?... Niech będzie!... Zrobimy interes!

I Chico uderzył się dłonią w bok, tam, gdzie przez cienką płócienną marynarkę przebiegały kształty wiszącego na skórzanym pasku pistoletu.

— Tak! Zrobimy interes! Ale pozwolisz chyba, że wypiję resztę mej wódki? — Już zapłacona!

— Ha! ha! ha!... Pij, przyjacielu!...

Pij!... Napijemy się razem!...

Hej! Paolo!... Jeden duży!...

Paolo, właściciel wendy, mały, wąty człowieczek, nałazł z dużej beczki nieco „kaszasu“ najpierw do butelki, potem napelnił kielich. Ujął go Andrzej, zbliżył do warg, zwilżył je lekko płynem, podał kielich murzynowi.

— Twoje zdrowie!

Chico odebrał kielich ruchem zdecydowanym, upił kilka kropel, oddał go z powrotem Andrzejowi, który wychylił resztę.

Teraz murzyn zwrócił się do gospodarza:

— Jeszcze raz! W ten sam! Ja płacę!

Był właśnie jeden z pogodnych, ciepłych wiosennych poranków brazylijskich.

Jak zwykle, zgromadzili się na „wendzie“ przybyli z okolicznych lasów i stepów „kabokle“, koloniści, robotnicy.

Rojno też było i gwaro w niedzielę u starego Paola.

Długa lada „wendy“ zastawiona była kieliszkami i szklankami wszelkich rozmiarów, lśnił w nich różnobarwny płyn. Z daleka już drażnił nozdrza silny zapach alkoholu.

Mężczyźni wybierali zwykle czysty „kaszas“, wstydlive kobiety przyrządzać kazały mieszkanki: to dolać parę kropel piolunówki, to zmieszać pół na pół z wermutem, to — dla lepszego zapachu — piły miętówkę, albo też lemoniady słodkie i wonne.

Tej niedzieli Andrzej nie był w kościele, lecz od razu skierował konia w stronę wendy. Uwiązawszy go u słupa, woń wstępował po schodach, wbijając bystry wzrok w tłoczącą się wewnątrz ciżbę ludzką.

Dostrzegłszy murzyna zwał szczęki z taką siłą, że zachrobotało w nich, jakby się łamały. Opanował się jednak rytm i już uśmiechnięty przeciskał się przez zwarty tłum w stronę murzyna.

Wypili po kilka szklanek „kaszasu“ — Zmętniało do reszty białka oczu murzyna świeciły matowo, na policzkach Andrzeja wykwitły krwawe rumieńce.

Chico zwrócił się po raz trzynasty w stronę gospodarza:

— Paolo! Jeszcze jeden! Ja płacę!

— Dostyc, przyjacielu! Czas na nas!

I dłoń Andrzeja spoczęła znów na ramieniu murzyna.

Chico chwycił nagle za pistolet i uskokował w bok.

— Zaczynamy!

W dłoni Andrzeja zalsniła również zimna stal dwururkowego pistoletu.

W „wendzie“ powstało zamieszanie. — Rozległy się piskliwe wrzaski kobiet, uciekających w popłochu na wszystkie strony.

Kilku mężczyzn skoczyło w stronę Andrzeja, inni skoczyli ku murzynowi.

Jednych i drugich wstrzymały jednak wymierzone wprost nich pistolety.

— Na bok! Na bok! Kto się zbliży — kula w łeb! Wynosić się i nie przeszkadzać! Już!

I na dowód, że nie żartuje, Andrzej wystrzelił dwa razy w górę, dziurawiąc sufit.

Odskoczyli więc wszyscy na bok, wypadali z wendy, jakby orkanem wymięcenia.

Chico posunął się wolno w jeden koniec wendy, tuż pod ostatnie drzwi, Andrzej stanął pod przeciwległą ścianą. Dzielili ich odległość około dwudziestu kroków.

Stali tak zwrócenii ku sobie całą pierśią, chwytając się lekko na szeroko rozstawionych nogach.

— Zaczynaj, Chico! Po dwa!

Zaledwie skończył, rozległ się suchy trzask, zaraz potem drugi.

Andrzej pochylał się nieco wstecz, ugięty się pod nim kolana.

— Twoja kolej, Andre!

Andrzej wyprostował się nagłym ruchem i — nie mierzając — pociągnął za cyngiel.

Dwa krótkie strzały, jeden po drugim, głuchy, stłumiony odgłos.

Murzyn zachwiał się, oparł o drzwi.

Andrzej nabijał tymczasem z gorączkowym pośpiechem swój pistolet, palce mu się płały. Skończył, spojrzął w stronę murzyna.

— Strzelaj, Chico!

Murzyn podniósł rękę do góry leniwie, z trudem, nieznacznie nacisnął cyngiel.

Andrzej chwycił się nagle lewą ręką za pierś, upadł na kolana.

Murzyn strzelił po raz drugi.

Andrzej pochylał się wprzód, palce ścisnęły kurczowo pistolet, padły ostatnie dwa równoczesne strzały.

Murzyn runął bezwładnie na próg.

Wyskoczyli zewsząd ukryci świadkowie, biegli ratować.

Napróżno.

Andrzej i Chico już nie żyli.

Najbliższy sąsiad Andrzeja, stary Maciej, który musiał przejeżdżać obok jego domu, zabrał zwłoki z sobą i powiózł je do niespodziewających się niczego rodziców.

Zwłoki murzyna odniesiono wprost na cmentarz i złożono je narazie w kostnicy, Chico bowiem, pracujący na fazendzie jako „vaqueiro“ nie miał rodziny.

Upłynął tydzień, nadeszła druga niedziela.

„Wenda“ Paola zapełniła się znowu wesołym ludem, rozdzielonym na małe grupki, w których rozprawiano gadatliwie i śmiano się szczerze. Kieliszki dźwięczały radośnie.

W pewnym momencie zapanaowała w „wendzie“ cisza i wówczas usłyszeli wszyscy głos starego Andrzeja, który, otoczony gromadką mężczyzn i kobiet, opowiadał spokojnie a dobitnie.

Powiadam wam, że ledwo coś niecoś „wymacałem“. Ale resztę dowiedziałem się dopiero na pogrzebie. Opowiedziała mi wszystko Zośka. Wiecie! Niby siostra Andrzeja. A było to tak: Wybierali się do kościoła, ale Andrzej trochę zasnął i Zośka wcześniej wyjechała naprzód, pewna, że ją Andrzej rychło dogoni. Zaledwie wydołała się na „kempę“ *) pod te „pinjory“ **) co to samotnie stoją przy drodze, nadjechał z drugiej strony Chico. Ot, głupi czarny. Ujrzał ładną, zdrową dziewczuchę i stracił rozum. Rzucił się na nią, ale nie dał rady. Ho, ho!... Zośka mocna jest w pięści! Wiadomo! Walkowa to córka! I jeszcze w „starym kraju“ rodzona. Poczuli się tedy szamotać. Ale niewiadomo, co by było. Na szczęście Zośka dostrzegła zdaleka nadjeżdżającego Andrzeja. Zobaczył go i Chico, więc — porzuciwszy Zośkę — uciekł. Andrzej wrócił z siostrą do domu, a potem zaraz ruszył w ślad za murzynem. Spóźnił się do kościoła, ale spotkali się w wendzie. No, to i wszystko! Ha! Dał mu — psia krew — nauczkę, żeby się do naszych dziewczuch nie dobierał. Bo co nasze, to nasze, a Chico był „negr“ i „pnomplo“ **).

*) Czytaj: Sziko — Franek; **) wódka z trzciny cukrowej; **) wenda — sklep; **) campo — step; **) pinteiro — brazylijska sosna; **) gotów, już.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 29 maja 1927 roku.

Nr. 22.

Wieś budzi się do życia kulturalnego.



W dniu 22 b. m. odbył się w Łęczycy zlot Związku Młodzieży Polskiej okręgu łęczyckiego. Na zdjęciu uczestnicy zlotu z ks. kapelanem Nowickim (gener. sekretarzem Związku Młodzieży Polskiej) na czele, na tle ruin historycznego zamczyska. Fot. A. Mayer.

Teatralja.

Premjery warszawskie. — Zespół Raymonda Duncana. — „Straszny dwór“ w New - Jorku. — Dobra rada.

Skończyły się już świąteczne ferie w teatrach warszawskich. Wygrano wszystko, co było do wygrania, i sceny stołeczne, jedna po drugiej, wznawiają kampanję, każda w miarę swych sił, możliwości i kompetencji.

Pierwszy w te szranki wystąpił Teatr Letni, wystawiając wcale udaną komedię węgierskiego autora L. Fedora, p. t. „Premjer“. Tytuł, jak widzimy, polityczny — bo też i „polityka“ jest zawiązkiem intrygi i punktem wyjścia akcji. Chodzi o to, że pewien młody mąż stanu, zasłużony wielce z powodu swej — bezbarwności i kompromisowości, otrzymał wysoką misję tworzenia gabinetu w chwili najmniej po temu dlań właściwej. Desygnowany bowiem premjer, który bez zwłoki przedstawić musi głowie państwa swój program rządowy, przed paru zaledwie godzinami został mężem sličnej jakiejś panienci, mężem — formalnym, gdyż co się tyczy... faktów, te muszą poczekać wobec wymagań — racji stanu. Postawiony w tej tantalowej sytuacji „premier“, na gwałt poszukuje politycznego „programu“, żalując, oczywiście, że okoliczności zmuszają go do odgrywania roli męża stanu, gdy wolałby pozostać jaknajprędzej poprostu — mężem. Na szczęście powabna panna młoda (nie można jeszcze powiedzieć: mężatka) wybawia „premjera“ z kłopotu, sufferując mu „program“ bardzo ładny: niechaj oto wszyscy obywatele będą szczęśliwi, niech każdy ma mile ognisko rodzinne, rozkoszną żonę i jeszcze rozkoszniejsze dziecko. „Premjer“ przyjmuje to „polityczne credo“ za własne, zdobywa dlań całkowity aplauz w parlamencie i opinii, a uwolniwszy swą głowę od tych ciężkich kłopotów państwowych, składa ją na łonie autorki „programu“ no i — wiecie już wszyscy doskonale, co musiało nastąpić dalej.

Sympatyczna naogół komedia p. Fedora, posiadająca sporo dowcipu i niejedną cechę zręczności scenicznej, grana jest doskonale przez p.p. Smosarską, Szreniawę, Nosarzewską, Różyckiego, Zelwerowicza, Orwida, Kurnakowicza i Hnydzińskiego w rolach główniejszych.

Sztukę bardzo wesołego, ale i lekkiego pokroju wystawił również Teatr Cwiklińskiej i Fertnera. Komediłka ta nazywa się „Stacyści“, a wyszła z pod pióra dość modnego dziś paryskiego autora, A. Birabeau; pomimo statecznego całkiem tytułu zawiera sporo drażliwości i całą masę „bulwarowej“ pikanterji. Nie może być zresztą inaczej, skoro akcja toczy się w środowisku kokot i osobników męskich o egzystencji ogromnie dwuznacznej, wynajmujących się dosłownie do wszystkiego. Jeden z tych indywidualów, zbankrutowany panicz, Piotr Haguët „wynajął się“ do roli kochanka in partibus pięknej pół-damy, która pragnie mieć koło siebie eleganckiego chłop-

ca, jako wabia dla kochanków „prawdziwych“, o gorszych może manjerach, ale o znacznie zasobniejszej kieszeni, co dla owej „pół-damy“ ma, oczywiście znaczenie pierwszorzędne. Jak to zwykle bywa, gra w miłość pomiędzy Piotrem Haguët'em a jego „chlebodawczynią“ kończy się idyllicznym niemal uczuciem istotnym (wierzmy tu na słowo autorowi!) No — i to właśnie już wszystko. Niewiele — prawda? Całe szczęście, że w tem mocno, jak na nasze podniebienia, przesolonem i przepieprzonem głupstewku gra taka mistrzyni wdzięku, wytworności i doskonałej rutyny scenicznej, jak p. Cwiklińska. Inaczej możnaby było wogóle przejść nad tą sprawą do porządku dziennego.

A jest on dziś bardzo obfity, gdyż zasygnalizować musimy ukazanie się na scenie Teatru Polskiego oryginalnej sztuki Antoniego Slonimskiego p. t. „Wieża Babel“. Rzecz ta, poruszająca problematy bardzo głębokie, a nowoczesna nawskroś w fakturze scenicznej, przyjęta została życzliwie i z zainteresowaniem. Obszerniejsze jej omówienie rezerwujemy sobie do następnej niedzieli.

Wielką sensacją dla Warszawy był przyjazd i występy zespołu p. Raymonda Dun-

Z Łęczycy.



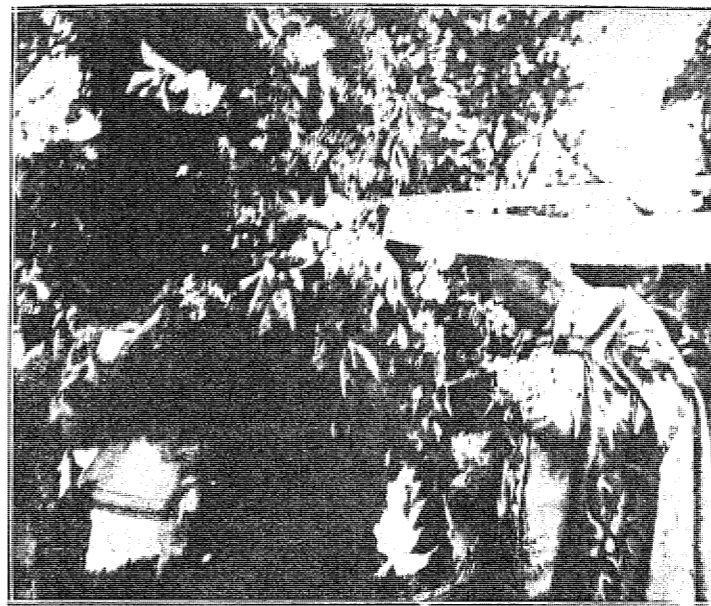
W ubiegłą niedzielę w Łęczycy odbyła się uroczystość poświęcenia nowych dzwonów w starożytnym kościele parafjalnym. Na zdjęciu J. E. ks. biskup dr. Tymieniecki w otoczeniu przedstawicieli władz zarówno miejscowych jak i z Łodzi, po dokonanej ceremonji poświęcenia.

cana, brata głośnej Izdydory, który propaguje nowe hasła i idee w sztuce teatralnej. Powodów do tej sensacji dostarczył przede wszystkim (jeśli chodzi o ulicę) sam wygląd członków trupy Duncana i jego samego, gdyż, proszę sobie wyobrazić, wszyscy ci artyści i artystki odziani są w stroje... greckie (tuniki, sandały, przepaski itd.) i w tych właśnie strojach ukazują się publicznie, nietylko na scenie. Na zgiełkowej ulicy warszawskiej, bijącej tętnem wielkiego, nowożytnego miasta, każde ukazanie się duncanowskich „greków“ wywoływało, rzecz prosta, olbrzymie wrażenie i jeszcze większe — zbiegowiska.

Jak zaznaczył p. Raymond Duncan w rozmowach z dziennikarzami, w poszukiwaniu najpełniejszych form teatralnej ekspresji zwraca się on do — starożytnych Greków, w ich tragedjach znajdując największej dynamiki dramatycznej. Biorąc z mitologii antycznej fabułę, p. Duncan i jego uczniowie, grają jednak „siebie samych“. Najważniejszym czynnikiem ekspresji w tem ujęciu formy i treści widowiska, ma być nie słowo, ale — ruch, jako „najpierwotniejszy, a więc najprawdziwszy wyraz przeżyć ludzkich“. Ostatecznie p. Duncan ma na celu „osiągnięcie maximum wyrazu

na najprostszymi i najnaturalniejszymi środkami“. Reformę widzi p. Duncan nie w odrzucaniu starych wzorów, ale w udoskonalaniu ich.

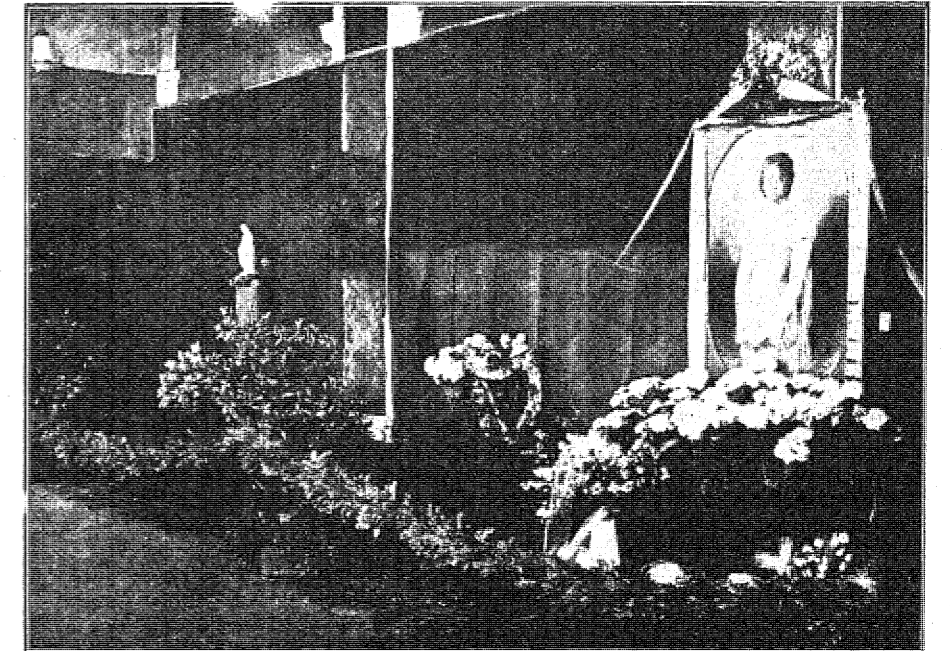
Ilustracją tych założeń były urządzone przez zespół widowiska, oparte na motywach treści starogr. („Edyp król“, „Antygona“ i in.) a inscenizowane w sposób, zmierzający do zastąpienia dramatu przez widowisko rytmiczne. Trzeba przyznać, że aczkolwiek p. Duncan nie jest w tym względzie reformatorem jedynym, gdyż pomysły zbliżone do Duncanowskich stosowali już młej lub więcej rozciągle zarówno niektórzy reżyserowie zagraniczni, jak polscy — jednak praca zespołu amerykańskiego wydaje bardzo artystyczne i interesujące rezultaty, stwarzając widowiska zadziwiająco



W czasie aktu poświęcenia dzwonów w Łęczycy przez J. E. ks. biskupa d-ra Tymienieckiego.



P. Kazimierz Zienkiewicz, sędzia Wydziału Handlowego i Cywilnego przy Sądzie Okręgowym w Łodzi, wice-prezes T-wa Prawniczego, wybitny działacz społeczny, został przeniesiony do Sądu Okręgowego w Katowicach.



W dniu 21 b. m. w Miejskiej Galerji Sztuki została urządzona wystawa kompozycji kwiatowych przez Centr. Polski Zw. Ogrodników. — Wystawa składała się tylko z prac p. Wojciecha Salwy, artysty-ogrodnika. Na zdjęciu jedna z kompozycji. Fot. A. Mayer.

w wyrazie zharmonizowane, głęboko prze-myślane i odczute. Niemalą atrakcją tych widowisk są przepyszne, barwne, godowe stroje antyczne, wykonywane podobno rękami artystów, którzy tworzą wraz z dyrektorem rodzaj jakiejś komunistycznej (w istotnym sensie tego słowa) wspólnoty ideowej, artystycznej i materialnej. Zresztą artyści wykonywują sami nietylko kostjumy, ale również dekoracje, afisze, scenariusze i wogóle to wszystko, co w obręb ich działalności teatralnej wkracza. Ze działalność ta nie jest humbugiem, o tem świadczą poziom przedstawień zespołu.

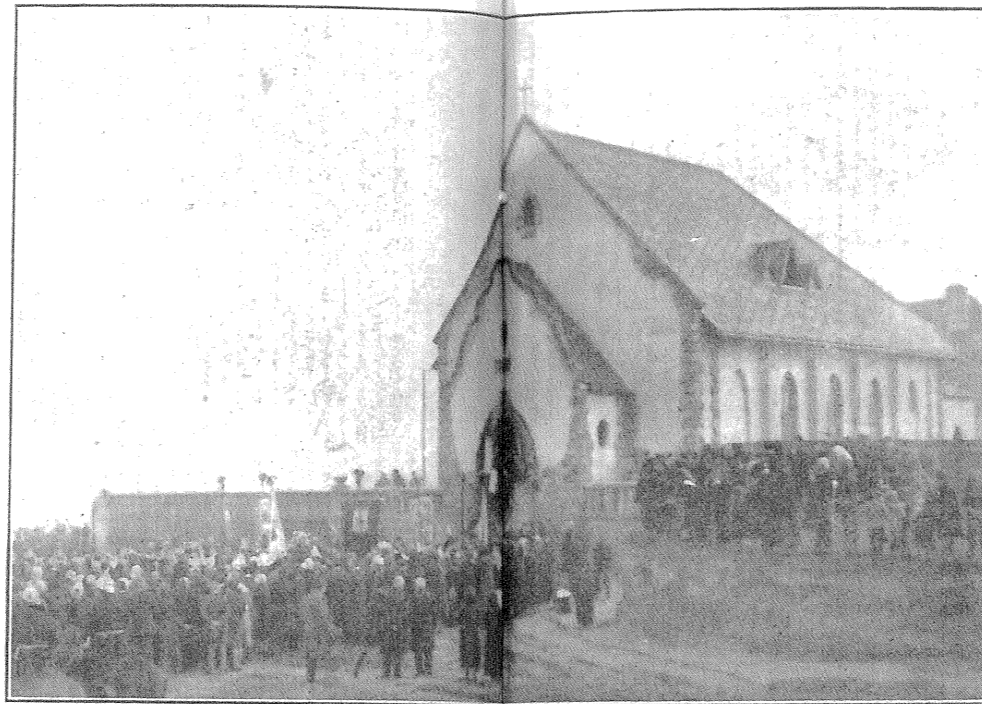
Niezwykle święto muzyki polskiej „odbyło się w ubiegłym miesiącu w teatralnej sali „Mecca Temple“ w Nowym Jorku. Oto znakomity nasz śpiewak, Adam Didur, ob-

chodził na drugiej półkuli, wśród laurów i honorów, 30-lecie swej pracy artystycznej, a dla jego uczczenia wybrał — Moniuszki „Straszny Dwór“. Jest to pierwsza opera polska, grana w Ameryce, a jej wystawienie należy mieć wyłącznie do zawdzięczenia p. Didurowi, który, składając dowody swego wybitnego patriotyzmu, nie zawahał się przed żadnymi trudnościami i brakami, zdobył się nawet na sprowadzenie ad hoc śpiewaków z kraju, aby tylko znakomity swój pomysł zrealizować i to w sposób możliwie najdoskonalszy. Należy sobie tylko życzyć, aby to pierwsze przedstawienie operowe polskie w Ameryce nie było — ostatniem, lecz stało się niejako bramą wiodącą i rekomendacją dla bogatej naszej twórczości muzycznej.

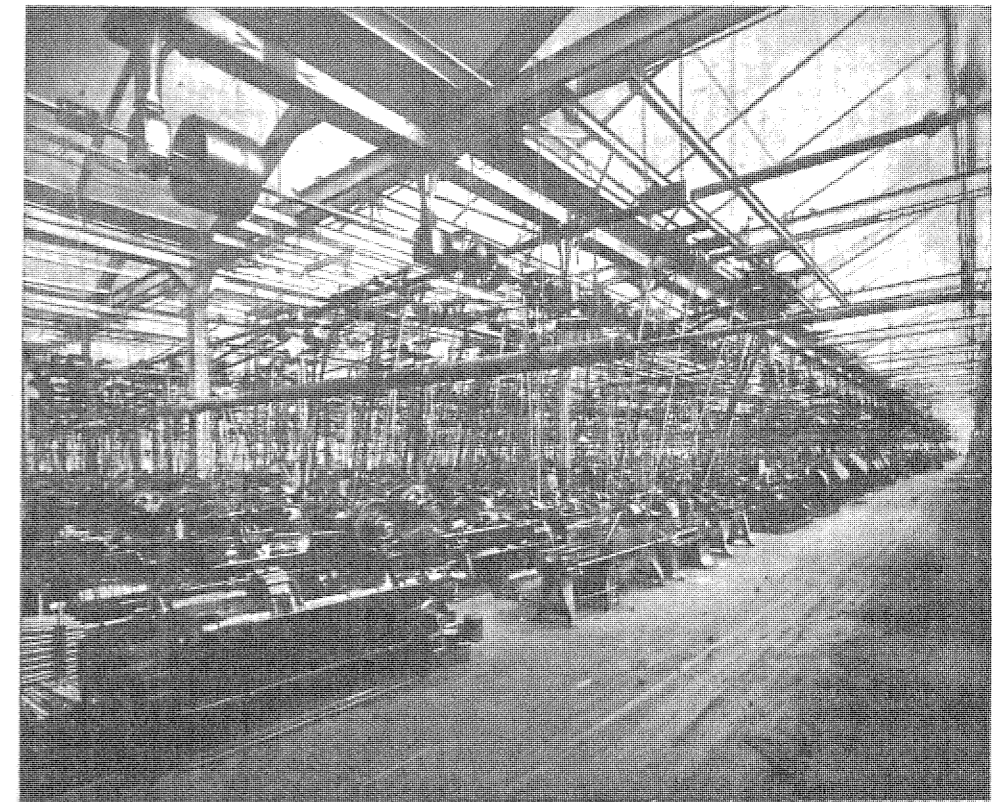
Delta.



Bankiet na cześć uczestników Festiwalu muzyki polskiej, wydany przez Poselstwo Polskie w Pradze.



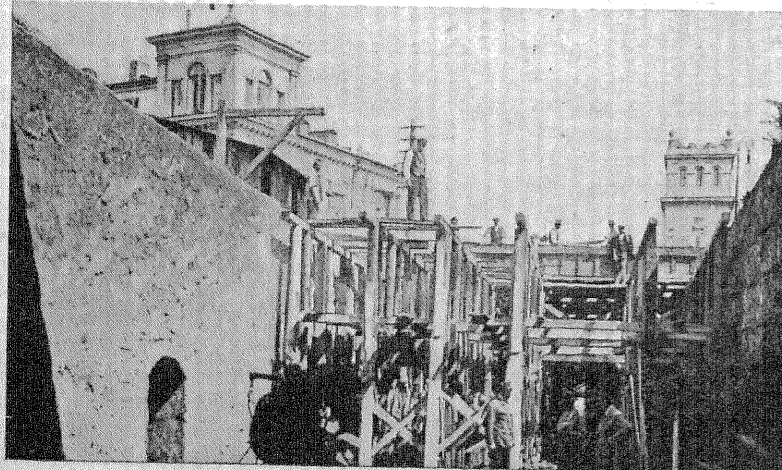
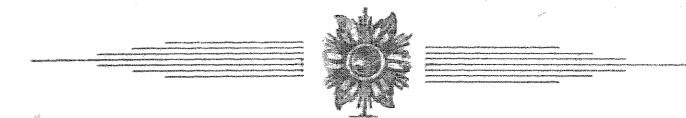
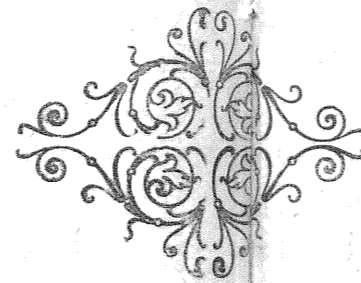
W Budapeszcie została uroczyście poświęcona nowa świątynia polska przy licznych udziale tamtejsza kolonii polskiej.



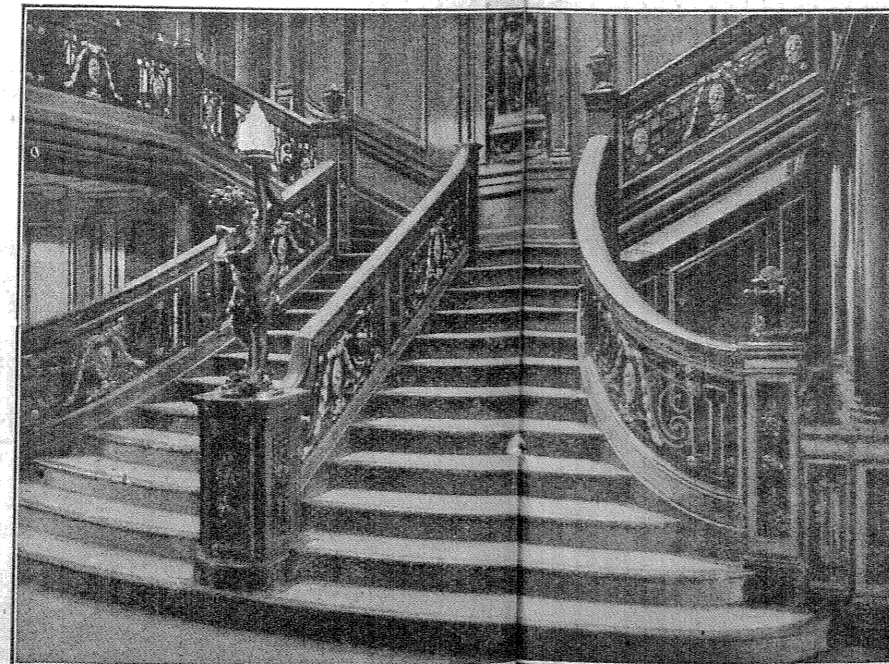
Wielka hala maszyn w fabryce samochodowej „Citroen” w Paryżu.



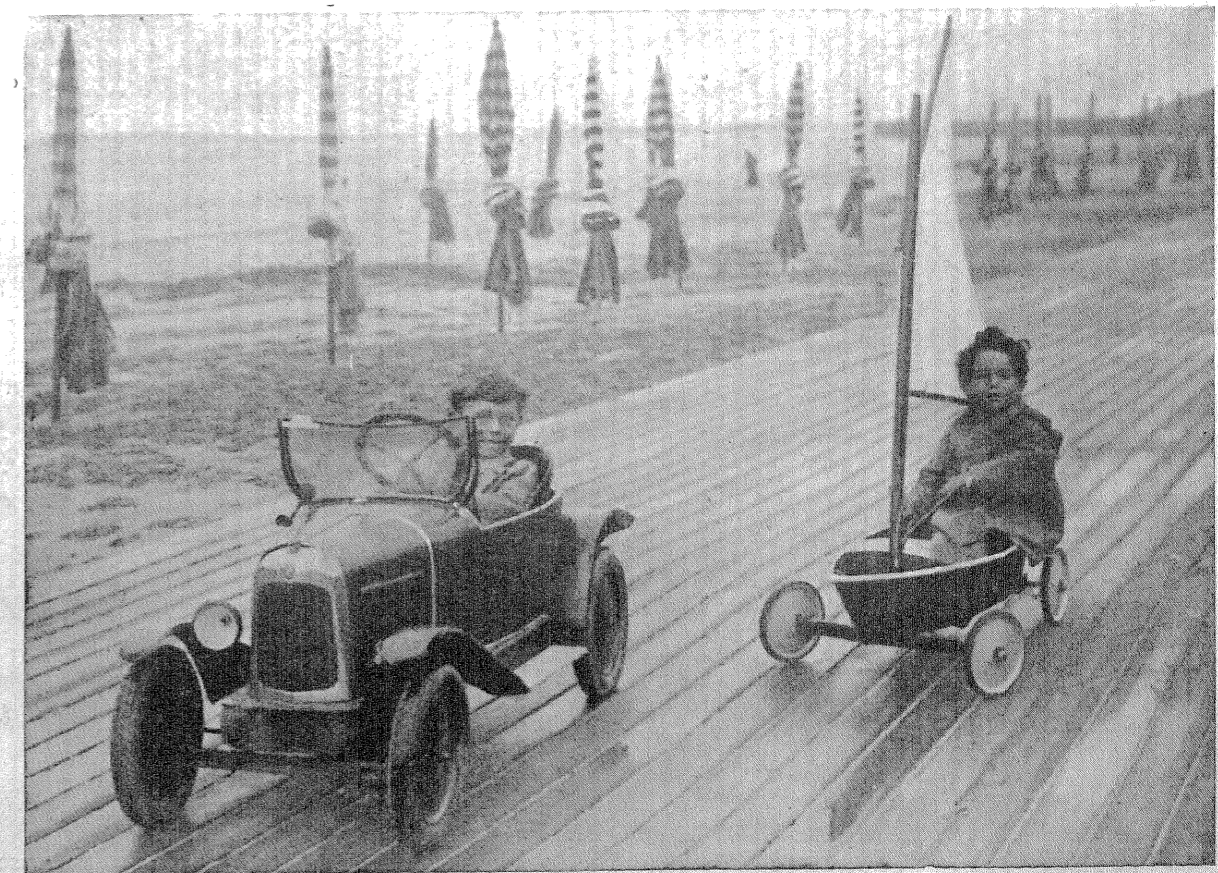
Olbrzymie plantacje kuczuku.



Przedhistoryczny gród skalny w Tynonit (Kanyon Frijolis).

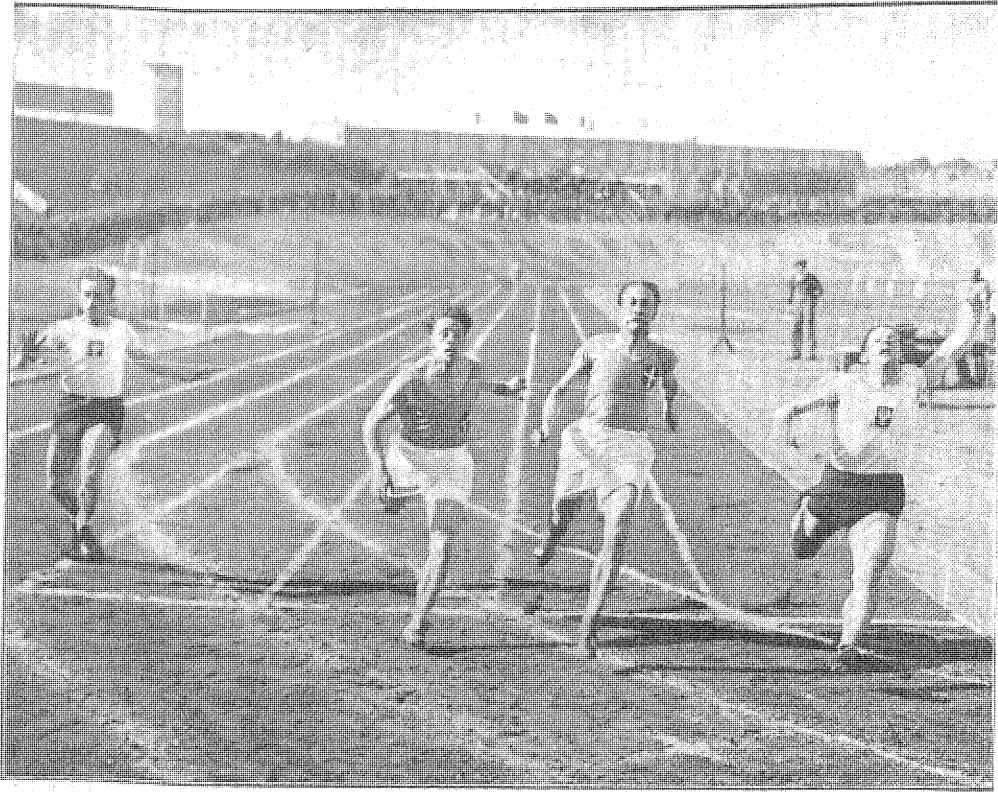


Klatka schodowa olbrzymiego statku pasażerskiego „Olimpic”.

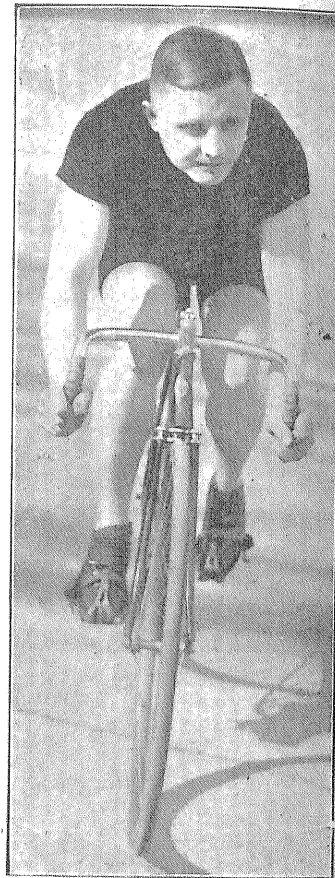


Oryginalne wyścigi milusińskich odbywają się na Riwierze na specjalnie skonstruowanym torze.

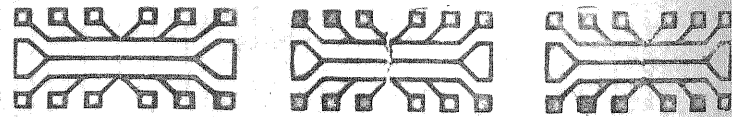
Z biegów Polska-Włochy.



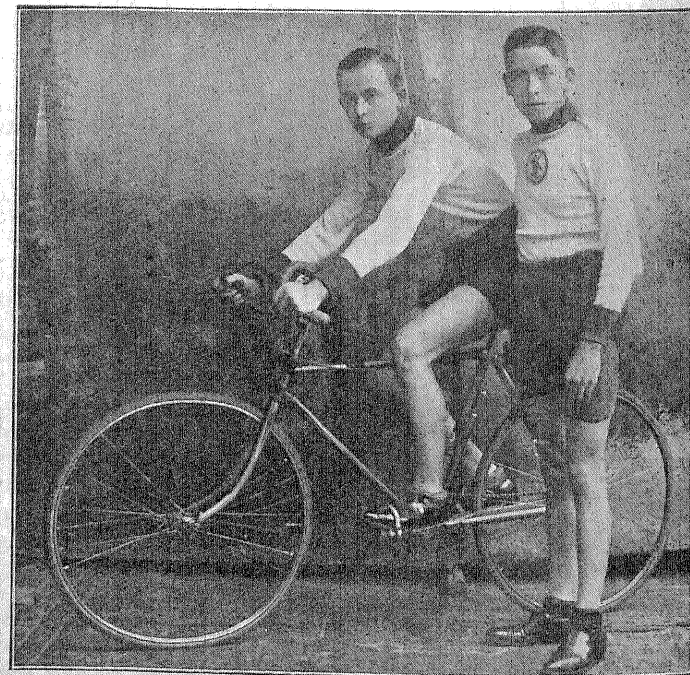
Rozpaczliwa walka Szenajcha z Włochami w biegu na 100 m. Szejnach uzyskał II miejsce za Reizezem.



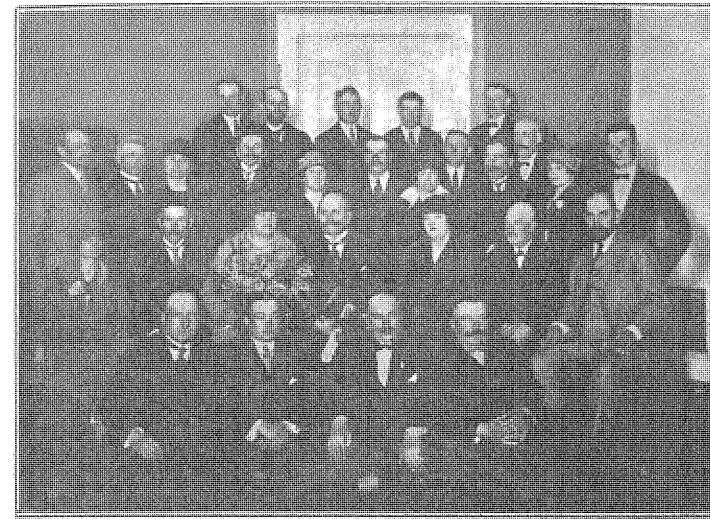
Znakomity kolarz polski Waclaw Kwieciński.



Ende, mistrz torowy Sekcji Kolarskiej Ł. K. S.



Szymański (Ł. K. S.), mistrz szosowy na r. 1926 Obok stoi Ekler, mistrz z r. 1925.



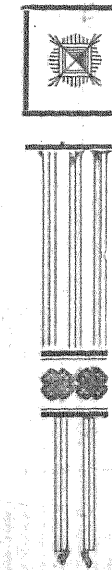
P. Wojciech Salwa (x) w otoczeniu przedstawicieli i zarządu Centralnego Polskiego Związku Ogrodników.



Gimnazjum C. Waszczyńskiej w Łodzi wystawiło niedawno piękną operę fantastyczną w 3-ach aktach prof. Karola Prosnaka p. t. „Za późno”. Fot. A. Mayer.



Pułkownik Sobieszczak, b. dowódca 28 p. Strz. Kan., z czasów zwycięskich walk pod Warszawą.



„Ubóstwiany sfinks”
z Johnem Gilbertem.

Z „Grand - Kina”. Ostatnie dwa zdjęcia z prawej strony przedstawiają sceny z frapującego filmu p. t. „Ubóstwiany sfinks” z Johnem Gilbertem w roli tytułowej. Obraz ten wyświetla „Grand-Kino”.



Omyłka.

Sura Frajberg z miasteczka Wyrkowa miała siedmioro dzieci i wcale nie miała męża.

Właściwie kiedyś miała męża, ale posadzili go za jakieś słowa, prosto słowa — do kozy — a później to już tak — jak to mówiła pani Frajberg:

— Zrobiło się z niego nic.

Sura nie buntowała się, ani nie pomstowała. Postąpiła sobie, jak kobieta: zaczęła sprzedawać na targu szpilki, igły, nitki, wstążki, zaczęła farbować damskie suknie, robić nocami pończochy, pitrasić ciastka, które potem jej maly Abramek sprzedawał smakoszom wyrkowskim, szyla koszule i znaczyła chustki.

Te wesołe, miłe igraszki nie odrywały jej zresztą od zajęć głównych: trzeba było o zmierzchu — po powrocie z targu — odszukać siedem istot ludzkich, które w ciągu dnia rozlazily się po mieście, jak raki z kosa, trzeba było je zapędzić do domu, zwymyślać, przekląć, obić, wymyć, nakarmić, ucałować i położyć do łóżka.

A rano zajęcia było jeszcze więcej.

Wszystkie dzieci budzily się odrazu i odrazu wszczynaly wielki gwałt z powodu tych trzynastu butów (Dawidkowi wóz odciął jedną nogę), trzynastu pończoch i kupy starych szmat, które trzeba było rozmieścić należycie na chudych nogach i wątych plecach prawych właścicieli.

Po rozdaniu trzewików, komu należy — Sura nie miała już ani chwili czasu, chwytala robotę, biegła po wąskich uliczkach Wyrkowa i próbowała słabym rozumem kobiecym, wyliczyć, ile sprzeda szpilek i co na tem zarobi

Niedawno pani Sura, wróciwszy jak zwykle z targu, przeklęła z iście macierzyńską bezstronnością wszystkie dzieci jednako, wzięła za ucho Dawidka, dała sółkę w bok Szmulkowi, posadziła na kolanach dwuletniego Aronka i zaczęła płakać temi codziennymi łzami, które jej samej się już znudziły.

Skończywszy z płakaniem powszedniem spojrzala nagle na zamorusaną twarz Aronka i — jęknęła:

— Co to? Co jest? Co ci się w oko stało, mój kurczaku najdroższy, żeby się już raz ta ziemia pod tobą zapadła. Ojoj! Oko ma czerwone, jak makówka. I lzy z tego oka płyną, jak z fontanny! Nieszczęście!

Łzy płynęły teraz z trojga oczu: dwoje należało do pani Sury, a jedno do małego Aronka. To oko było rzeczywiście zaczerwienione bardzo i nawpół przykryte ciężką powieką.

Wokoło skakał na tej swojej jedynej nóżce Dawidek, a dziewczynka Różia skaleczyła się w palec i próbowała z niego wyssać krew.

Bardzo było wesoło.

Nazajutrz flegmatyczny Aronek, razem z jego zaczerwienionem okiem został siłą wyciągnięty z domu i musiał stanać przed radą, złożoną z sąsiadek pani Sury.

— Czy ty co widzisz na to oko, chłopak? — zapytała pani Perlmutter.

— Uj! — pisnął wymijająco dzieciak.

— Co taki chłopak rozumie. Jego trzeba zawieźć do okulisty.

— Do takiego okulisty, który leczy na oczy — podtrzymała ją pani Sztilman.

— On mieszka nawet niedaleko — z dzie sięć godzin koleją — dodała pani Perlmutter.

— Dziesięć godzin tam, dziesięć godzin napowrót — dorzuciła stara Gitelsonowa.

— Pani Frajberg — rzekła spokojnie, ale stanowczo pani Perlmutter — to oko będzie panią kosztowało z piętnaście rubli.

Pani Sura zacisnęła zęby, jej twarz była, jakby wykuta z kamienia.

— Dobrze — powiedziała. — Dla mojego dziecka będę miała piętnaście rubli.

W ostatnich dniach pani Sura ustawicznie się śpieszyła. Zebrała zaledwie osiem rubli, oko Aronka czerwieniało coraz bardziej, a popyt na wstążki i szpilki spadł prawie do zera. I dlatego Abramek musiał sprzedawać podwójne porcje obwarzanków, pani Sura spała już tylko wtedy, kiedy myła, przeklinała i całowała dzieci, po całych nocach zaś szyla i cerowała, a na to żeby się wypłakać miała zaledwie jakieś dziesięć minut czasu dziennie.

Kiedy już wreszcie miała dwanaście rubli, przyszły do niej z wizytą sąsiadki, pani Perlmutter, pani Sztilman i stara Gitelsonowa i powiedziały:

— Co znacz! Niech pani weźmie od nas pięć rubli. Te pieniądze są pani teraz, jak to mówią, potrzebne

Ponieważ akurat nie było do roboty, więc pani Sura rozplakała się, biorąc pieniądze, ale natychmiast przeszła na ton poważniejszy i postanowiła jechać zaraz dzisiaj, wieczorem.

Sura przyleciała z targu na czterdzieści minut przed odejściem pociągu. Ponieważ do stacji kolejowej było właśnie około czterdziestu minut drogi, więc złapała przed Aronka, owinęła go szczelnie w dużą chustę, pobiegła do stołu, chwyciła zawiniątko z jedzeniem, skoczyła ku Rózi, dała jej kułaka, krzyknęła na Dawidka:

— Pamiętaj, żebyś nie bił dzieci. Ty jesteś starszy.

Potem pomacała, czy ma pieniądze w kieszeni, upuściła zawiniątko, ale je znów podniosła i wybiegła — wołając na schodach:

— Umyjcie dzieci! Dajcie im jeść!

Nazajutrz rano Sura siedziała w poczekalni okulisty, trzymała na ręku śpiącego Aronka, zawiniętego szczelnie w dużą chustkę i czekała na swoją kolejkę.

— Teraz pani. Proszę!

Sura wstała, weszła do gabinetu i pokłoniła się nisko lekarzowi.

— Dzień dobry panu doktorowi! Jak się panu powodzi! Przywiozłam panu doktorowi moje dziecko. Ma coś z okiem — niewiedomo co. Prosto utrapienie.

Doktor podszedł bliżej, pomógł Surze rozplątać chustkę i, otworzywszy chłopcu oczy, obejrzał je uważnie.

— Hm.. — rzekł — Dziwne. Nic podejrzanego nie widać.

Tu rozległ się nagle dziwny, zachrypły, zdławiony krzyk matki:

— Panie doktorze! Ja nie to dziecko zabrałam, co trzeba! Boże!



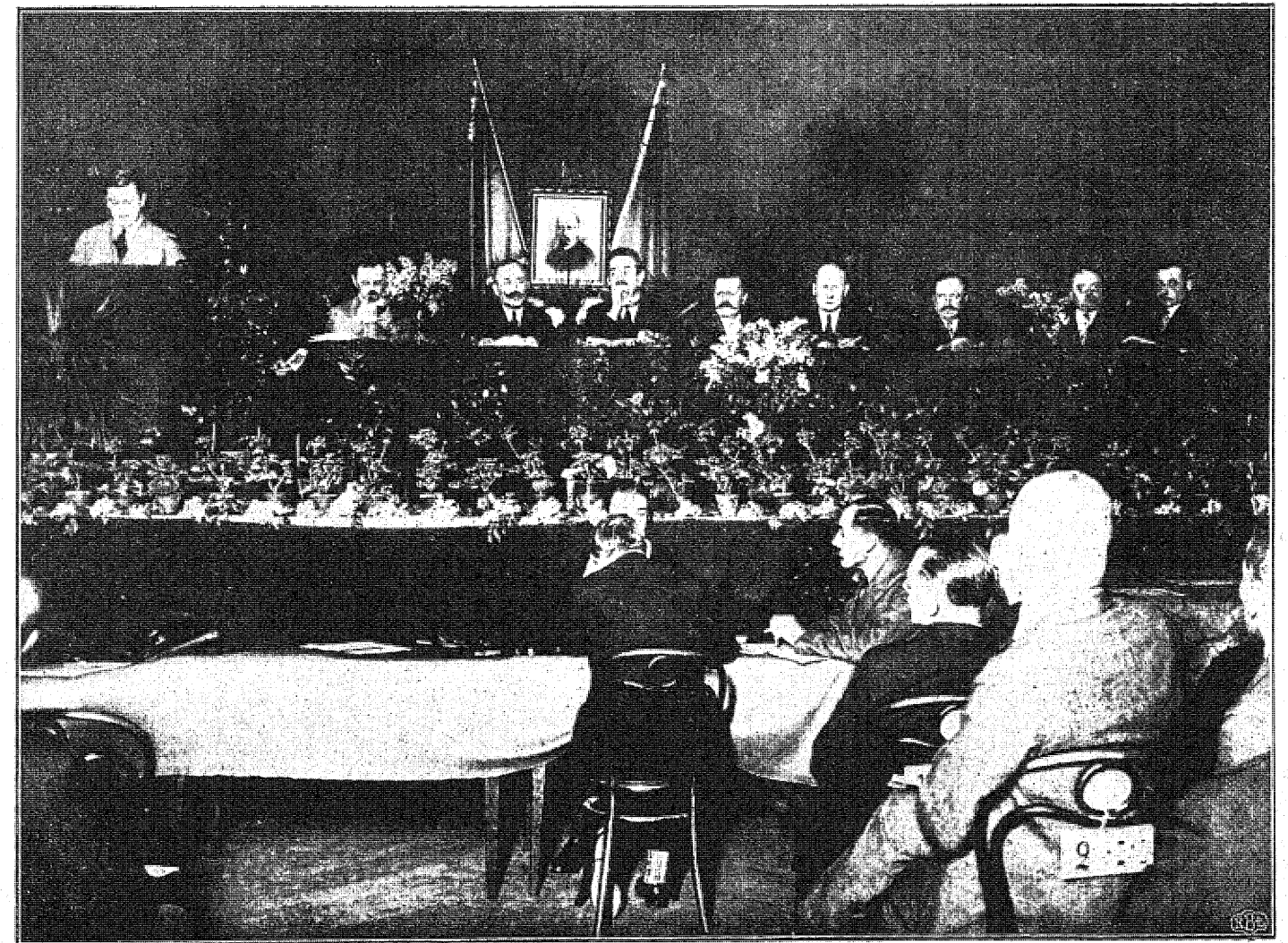
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 5 czerwca 1927 roku.

Nr. 23.

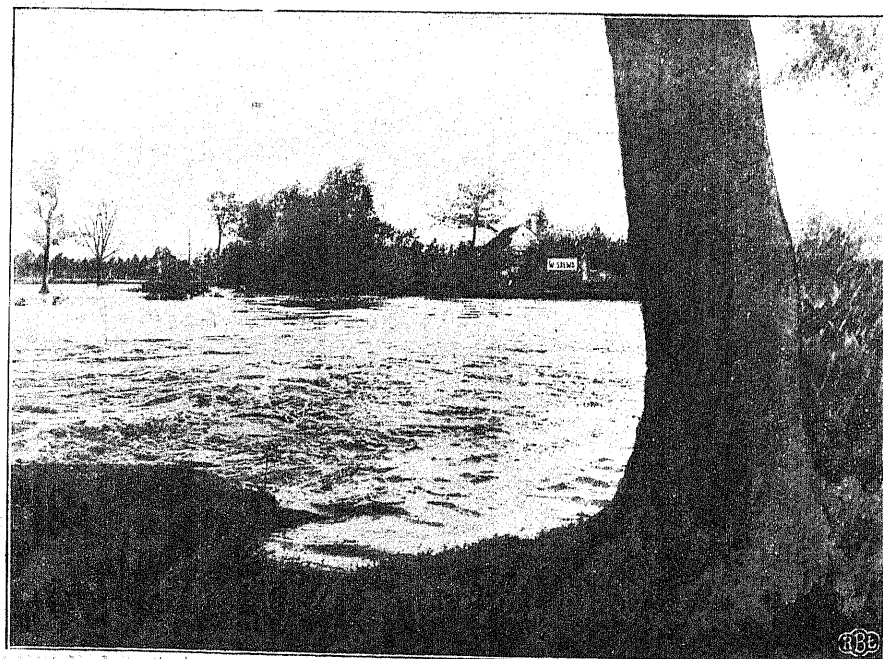
XV zjazd przedstawicieli związków spółdzielczych.



W dniu 28 i 29 maja r. b., w sali łódzkiej Filharmonji odbył się imponujący zjazd pełnomocników Związku Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej.

Na zdjęciu — prezydium zjazdu w czasie obrad.

Fot. A. Meyer.



Niebywały od lat wylęg rzeki Ner w Rudzie Pabjanickiej pod Łodzią.